

# Dramat dwóch kobiet

Dwie postacie stanowią o wartości Marii Stuart\* Schillera\*). Między nimi odbywa się całe istotne starcie dramatyczne. One tylko w tym utworze są postaciami prawdziwie pełnymi. Dla nich warto te tragedie grać i dzisiaj. Ich sprawy mogą nas jeszcze wzruszać ze sceny.

Konflikt dwóch królowych: Elżbiety i Marii wyrasta oczywiście z tła wydarzeń historycznych. Schiller przeprowadził — jak świadczy o tym jego korespondencja z Goethem — dość szczegółowe studia nad dziejami szesnastowiecznej Anglii i Szkocji, nad rywalizacją dynastii Tudorów i Stuartów, ich walką o władzę. Ale przedstawiając ostatnie trzy dni przed straceniem Marii Stuart przez osiemnaście lat więzionej przez Elżbietę, dość swobodnie potraktował poszczególne fakty. Np. spotkanie obydwu antagonistek, które jest kulminacyjnym punktem dramatu, w rzeczywistości nigdy się nie odbyło. Elżbieta i Maria nie zetknęły się bezpośrednio ani razu. Schillerowi jednak szło nie o kronikarską ścisłość, ale o głębszą prawdę historii. Czy dało mu się tę prawdę osiągnąć na

tyle, by dziś jeszcze w dramacie mogła ona nas zainteresować trafnością ujęcia konfliktów społecznych czy politycznych? Tylko częściowo. To pewne, że z tego utworu nie będziemy się uczyli historii. Ta bowiem kaźalaby nam czuć sympatię raczej do przedstawicielki oświeconego absolutyzmu Elżbiety, niż do awanturniczej choć — prawda! — okrutnie straconej papistki, Marii.

W dramacie Schillera jest akurat na odwrót. Autor staje po stronie Marii Stuart, która w więzieniu szlachetnie, urasta do idealnego symbolu wolności. Tak, idea wolności, z której perspektywy Schiller pisał wszystkie swe dramaty, odbiła się tu w postaci zdezonizowanej królowej szkockiej o niezapamiętnionej przeszłości. Kiedy poeta z sympatią przedstawiał Francję i związki łączące z nią Marię Stuart, zapewne pozostał pod urokiem obrazu tego kraju z innych czasów, sobie współczesnych — obłazu Francji rewolucyjnej. Elżbietę osądził surowo. Mimo zwycięstwa nad rywalką, w życiu osobistym i w własnym sumieniu przegrywa — ona także. Nie osiąga szczęścia. Pozostaje osamotniona, opuszczona przez najbliższych i przyjaciół, zmnna, wyzbyta skrupułów posiadaczka władzy.

Pragnienie władzy odgrywa dużą rolę w konflikcie tych dwóch kobiet. Ale nie ono jedno o nim decyduje. Elżbieta i Maria różnią się między sobą pod każdym względem — jak ogień i woda. Różny jest ich stosunek do życia, do każdej jego dziedzi-ny. Walka o władzę łączy się tu ze sporem religijnym, z nienawiścią i zazdrością kobiecą. To wszystko razem splątane i pomieszane składa się na wizerunek wewnętrzny dwu renesansowych kobiet. Każda z nich ma swoją rację. Starcie tych racji z sobą, starcie dwu kontrastowych charakterów — oto dramat rozgrywający się wśród dworskich intryg i królewskich dynastycznych kombinacji. Dramat ludzkich uczuć, napiętności.

Maria tchnie umiłowaniem życia, wolności. Jeśli pragnie władzy, to aby móc z tego życia w pełni korzystać. Dla niej wszelkie polityczne związki mają o tyle sens, o ile mogą przyczynić się do radości życia. Francję wspomina czule, bo tam jej było dobrze. Pragnie też korzystać z miłości. Kocha do ostatnich chwil życia człowieka, o którym wie, że zdradził ją tchórzliwie i nikczemnie. Ma w sobie urok nieodparty, podbijający wszystkich, którzy się z nią stykają. Dlatego jest niebezpieczna.

Marię Stuart gra Irena Eichlerówna. Po raz pierwszy po wojnie w Warszawie mogliśmy ujrzeć tę aktorkę w wielkiej dramatycznej roli. I ujrzeliśmy wielką kreację. Eichlerówna olśniewała niezmiernym bogactwem swego głosu. Były w tym i

tak charakterystyczne dla niej przeciągania, i pełne prostoty jakby rzeźbione w słowie kadencje, przejmujące szeptem i uderzające siłą akcenty, tony gętkie przez czułość i kaleczące ostrością.

W trzech aktach Eichlerówna ukazuje się na scenie, za każdym razem w innej sytuacji i za każdym razem pozostawia w pamięci inny swój obraz. Najpierw w więzieniu nosi swą godność królewska z bólem i tęsknotą do wolności. Z prawie stale przymkniętymi oczyma snuje się wśród zamkniętych murów ruchem i gestem zdradzając żywość swej natury. A kiedy spojrzy w stronę wysokiego okna w świat, od którego jest odgradzona, spojrzenie to więcej mówi o jej tęsknocie za wolnością niż długie tyrady wspaniale zreszta brzmiące w jej ustach. Jest przy tym czuła czułością spotęgowaną przez cierpienie, daleką jednak od taniej skłiwosci i młękkości. Po raz drugi patrzymy na Eichlerównę kiedy cieszy się chwilowym opuszczeniem więzienia. Jest wtedy przez chwilę samą radością życia. Niezapomniany jest moment kiedy wbiega do ogrodu i szerokim gestem zakreśla krąg radośnej swobody. Potem w spotkaniu z Elżbietą dumna jej zalamuje się w pokorze, by na koniec wybuchnąć obełgą rzuconą antagonistce. I wreszcie po raz ostatni Maria Stuart ukazuje się na kilka chwil przed śmiercią, pogodzona z nią, cicha i spokojna. Zegna się z otoczeniem. Scena dość melodramatyczna. Schiller lubił melodramaty. Na widowni słychać wycieranie nosów ze wzruszenia. Eichlerówna i w tej scenie utrzymuje linię wielkiej tragicki. Być może nawet tu pokazuje największe bogactwo subtelnych tonów i odcieni uczuć zachowując umiar i prostotę.

Godną partnerką Eichlerówny jest Irena Horecka jako Elżbieta (rolę tę dubluje Danuta Wodyńska). Elżbieta to kobieta, która nie zaznała radości życia. Nie zaznała miłości. Cieszy się władzą. Dla niej i dla racji stanu gotowa jest poświęcić wszystko, nie

cofnąć się przed oszustwem, podstępem i okrucieństwem. Dlatego jest groźna. Bezwzględna, równie choć inaczej dumna w swym królewskim majestacie jak i Maria, czuje się jakby urażona w swej niewyżytej kobiecości. Horecka doskonale pokazała tę całkowitą odmienną Elżbiety od Marii Stuart. Była sztywna i oschła, jakby zastygła w swej odpychającej surowości. W jej ustach słowa brzmiały z nieskazitelną czystością. Miały jakąś głuchą monotonność odpowiadającą charakterowi tej postaci.

Te dwie królowe — jak powiedzieliśmy — to cały dramat w „Marii Stuart”. Słusznie więc reżyseria Władysława KRASNOWIECKIEGO wydobyla je jako główną sprawę w przedstawieniu, resztę traktując jako tło — tło utrzymane na ogół w zharmonizowanych tonach. Schillerowskie tyrady pisane są wierszem pełnym sily, patosu i uniesienia. Wymagają też takiego wypowiedziania, stroniącego od naturalistycznego sposobu mówienia. Stary przekład M. Budyńskiego jest prawdopodobnie najlepszy z istniejących, ale dość daleki od uroczyściego toku wiersza oryginalnego. Stąd też i schillerowski patos musiał ściszyć się w przedstawieniu. Reszta postaci — poza dwiema antagonistkami — narysowana jest przez autora płasko i niewiele z nich można na scenie wydobyc. Wspomniłyśmy więc, że Ewa KUNINA grała z szlachetną prostotą wlewnie przywiązana piastunkę Marię, Igor SMIAŁOWSKI z młodzieńczym ogniem i zapałem wypowiedział tyrady Mortimera, Tadeusz BIAŁOSZCZYŃSKI i Władysław KRASNOWIECKI godnie reprezentowali dworskie czarne charaktery. Władysław GRABOWSKI ładnie zagrał epizod starego Melwila, i że poza tym wystąpili: BRACKI, BIELIŃSKI, MACIEJEWSKI, KACZMARSKI, WOZNAK, ZARDECKI i in.

Jan KOSIŃSKI stworzył wspaniałe w swej poeponości więzienne i królewskie wnętrza.

AUGUST GRODZICKI

x) Fryderyk Schiller — Maria Stuart — Tragedia w 5 aktach według przekładu Michała Budyńskiego (Teatr Narodowy).